

Gawlikowski, Krzysztof

"Pekińska wiosna 1989 r. Początki ruchu demokratycznego w Chinach", Bohdan Góralczyk, Warszawa 1999 : [recenzja]

Dzieje Najnowsze 32/1, 247-255

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

także w odniesieniu do Polski. Znajomość japońskiej literatury naukowej oraz japońskich źródeł, dotyczących historii jej dyplomacji, otwiera przed Autorką na tym polu znacznie szersze możliwości niż te, które w książce wykorzystała.

W tekście znalazło się także trochę drobniejszych uchybień: szwankuje interpunkcja, występuje nagminnie brak przecinków, zaznaczających zdania współrzędne i podrzędne, na s. 126 i 133 są zdania trudne do rozszyfrowania i zrozumienia — dotyczą one sytuacji prawnej konsulatów oraz popierania przez japońskie czynniki wojskowe polityki japońskiego MSZ wobec Polski; kpt. Jan Grudzień nie był attaché wojskowym w Moskwie, a tylko pomocnikiem attaché (s. 81); wśród przewidzianych kandydatów do Paktu Wschodniego były także Niemcy, czego Autorka nie uwzględniła (s. 109); nie „ogłosiły wypowiedzenie”, ale wypowiedziały (s. 122); „szyk bojowy w czasie pokoju armii sowieckiej” — nie szyk bojowy, ale ordre de bataille (s. 137); nie Stołupce, ale Stołpce (s. 156); w książce nie występuje w ogóle nazwisko posła polskiego w Tokio Zdzisława Okęckiego (1928-1930).

W konkluzji o książce Ewy Pałasz-Rutkowskiej trzeba napisać (wcale nie zwyczajowo, jak się to często czyni), że rzeczywiście wypełnia ona lukę w polskiej historiografii tym razem w zakresie stosunków japońsko-polskich. Jest to praca kompetentna, o czym zadecydowała znajomość języka japońskiego i czego następstwem była sumienna kwerenda dokonana przez Autorkę w archiwach i bibliotekach japońskich.

Marian Leczyk
Warszawa

Bohdan Góralczyk, *Pekińska wiosna 1989 r., Początki ruchu demokratycznego w Chinach*, Warszawa 1999, Studio Wydawnicze Familia, ss. 261

Autor tej pracy uzyskał magisterium z sinologii i politologii, a doktorat w tej ostatniej dziedzinie. Przez pewien czas pracował w dyplomacji, a także uprawiał publicystykę. Obecnie wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. Wydarzenia na placu Tian'anmen obserwował na miejscu jako wysłannik „Polityki”.

Praca ma charakter popularny, pozbawiona jest przypisów, odniesień do literatury i źródeł. W części brak ten uzupełnia krótka bibliografia wybranych publikacji. Czytelnik znajdzie też niewielki słowniczek terminów pojawiających się w tekście. Jest to dość osobista relacja — autor odwołuje się często do swych obserwacji, wrażeń i przemyśleń, bliższa eseistyce niż pracy naukowej, z jej ścisłymi rygorami.

Autor przypomina pokrótce Ruch 4 Maja (1919 r.) i protesty studenckie, z jakich się on rodził, pierwsze manifestacje uliczne w dziejach nowoczesnych Chin, jakie rozgrywały się właśnie na placu Tian'anmen. Pamięć owych wydarzeń jest wciąż żywa ze względu na znaczenie przemian przez ruch ten rozpoczętych. Wspomina o proklamowaniu ChRL w 1949 r. przez Mao na tym samym placu, rysując go jako swoiste „miejsce magiczne” i zarazem przedstawiając jego topografię. Pomija cały okres rządów Mao i od razu przechodzi do szczegółowego opisu schyłku maoizmu oraz wydarzeń, jakie nastąpiły później, aż do 1999 r. Rozpoczyna tę relację od wydarzeń z wiosny 1976 r., które nastąpiły po śmierci premiera Zhou Enlaia (Czou En-laja), w istocie pierwszych masowych wystąpień na placu Tian'anmen skierowanych przeciwko polityce Mao oraz jego najwierniejszych zwolenników w kierownictwie, co tym bardziej zasługuje na uwagę, iż Mao żył jeszcze (zmarł dopiero we wrześniu tego samego roku). Omawia walki toczące się na szczytach hierarchii partyjno-państwowej, swoisty zamach stanu

w październiku 1976 r. i aresztowanie „bandy czworga” z Jiang Qing, żoną Mao na czele, jak też stopniowe przejmowanie władzy przez „reformistów” pod przywództwem Deng Xiaopinga.

Przedstawia rozwój ruchu demokratycznego w Pekinie pod koniec lat siedemdziesiątych i rozmaite jego nurty, wydarzenia związane ze sławną „ścianą demokracji”, gdzie każdy mógł wywieszać *dazibao* i przedstawiać swoje poglądy, jak również żale i oskarżenia wobec władz. Rysuje skrótkowo poczynania przywódców, jednych nastawionych bardziej reformatorsko, innych bardziej konserwatywnie, a także narastające aspiracje i żądania społeczne, szczególnie zaś działalność chińskich dysydentów.

Wszystko to jest niejako obszernym wprowadzeniem do szczegółowego opisu wydarzeń na placu Tian'anmen wiosną 1989 r. Pokróćce autor przedstawia też konsekwencje tych wydarzeń, ich reperkusje, jak też odgłosy w Chinach wydarzeń z Europy Środkowej, losy przywódców ruchu studenckiego i kolejne etapy działań dysydenckich w latach dziewięćdziesiątych.

Jest to z pewnością bardzo pożyteczna praca, gdyż po raz pierwszy w polskim piśmiennictwie przedstawia ona dość obiektywnie, z troską nawet o detale, owe dramatyczne wydarzenia 1989 r., wprawdzie nader głośne, ale w istocie mało znane, i przez agitacyjnie nastawionych publicystów je opisujących, niestety, nawet zakłamywane. Przypomina on, że protesty studenckie zaczynały się od składania czi właśnie zmarłemu Hu Yaobangowi, byłemu przewodniczącemu KPCh, znanemu ze swych liberalnych poglądów, jak też o śpiewaniu przez nich *Międzynarodówki*, co najbardziej wymownie świadczy, iż nie miały one „charakteru antykomunistycznego”, jak się nieraz mylnie sądzi. Zgodnie z prawdą historyczną Autor opisuje też, jak studenci zebrani na placu w nocy z 3 na 4 czerwca, kiedy wojska posuwały się już w jego kierunku, zebrali posiadaną broń i domowego wyrobu ładunki wybuchowe, gromadzone przez największych radykałów, i przekazali je oficerowi tam obecnemu, a później — podporządkowawszy się wezwaniom władz wojskowych — karnie, w zwartych kolumnach, opuścili plac. Tak więc, wbrew fantastycznym, a uporczywie powtarzanym, opisom spotykanym w prasie polskiej (a czasem i zagranicznej), nie było żadnej „masakry studentów” na placu Tian'anmen. Potwierdzają to wszyscy przywódcy ruchu studenckiego przebywający obecnie na Zachodzie, tak w swoich pisanych relacjach, jak też wywiadach. Dysponujemy również materiałami filmowymi ekip telewizji zagranicznych obecnych wówczas na placu. Tę historyczną prawdę ukazywał też dwuodcinkowy film dokumentalny brytyjskiej BBC wyemitowany przez drugi program TVP w 1998 r.

Ofiary oczywiście były, i to liczne (ich liczby nie znamy), ale padły one na przedmieściach i w alei Changan, prowadzącej do placu (także w jego bezpośrednim pobliżu), gdzie ludność sympatyzująca ze studentami starała się powstrzymać wkraczające do miasta kolumny wojska i czołgów. A następnie, gdy rozniosły się wieści o zabitych i rzekomej „masakrze studentów” (bo takie pogłoski rozeszły się wtedy w Pekinie), rozpoczęły się ataki rozwścieczonej ludności na wojsko. Pisząc o tym wszystkim, Autor nie docenia chyba nawet skali tych walk, wybuchających w stolicy nocami jeszcze i po tragicznym 4 czerwca, a dodajmy, iż budowano barykady, urządzano prawdziwe polowania na patrole wojskowe, palono pojazdy wojskowe, niekiedy zdobywano nawet czołgi, rozbrajano żołnierzy, czasem ich wręcz linczowano, a ze zdobytych karabinów, i to maszynowych, robiono nieraz użytek. Tak więc setki ofiar padały z obydwu stron. Przedstawianie tych tragicznych wydarzeń jako rozgrywających się wyłącznie na tym najślawniejszym placu Chin, i to tylko jako rozstrzeliwanie tam, czy miażdżenie czołgami, bezbronnymi studentów, co robią czasem nasi publicyści, po prostu świadczy o nieznajomości podstawowych faktów.

Autor opisuje wydarzenie, znane z powtarzanej wielokrotnie sekwencji telewizyjnej, powstrzymywania kolumny czołgów przez samotnego człowieka (nigdy nie ujętego). Nie dodaje jednak, iż wystąpił on tak śmiało, ponieważ już w dniach poprzednich kilkakrotnie w różnych punktach miasta w podobny sposób właśnie skutecznie powstrzymywano kolumny wojskowe (najczęściej starsza kobieta kładła się na jezdni), tyle że tym razem były przy tym kamery telewizyjne. Jakże znamienne jest, iż oficerowie w takich przypadkach nie wazyli się wydać rozkazu rozjechania śmiałka. Autor odnotowuje wprawdzie, że scenę tę pokazywała również chińska telewizja państwowa, ale zdaje się nie doceniać faktu, iż w komentarzach potępiano wprawdzie sprawcę, chlubiąc się jednak właściwym postępowaniem czołgistów.

Autor wspomina o ukrywaniu się, nieraz latami [!], czołowych działaczy studenckich, za którymi rozesłano listy gończe i o ich nader częstych ucieczkach zagranicę, ale nie eksponuje — chyba — dostatecznie znaczenia tych faktów. W epoce Mao, pełnej kontroli ludności, byłoby to zupełnie niemożliwe. Pokazuje to najlepiej, jak bardzo zmieniły się Chiny: nie tylko władze działały mało skutecznie, ale przestał już funkcjonować dawny system drobiazgowej kontroli nad społecznościami lokalnymi, znajdowały się nadto dziesiątki, a nawet setki ludzi ryzykujących własne bezpieczeństwo, by pomóc ściganym, rzecz w społeczeństwie dawniej tak „zniewolonym umysłowo” niewyobrażalna. Ukazuje to dobrze rozkład ideologii i zanik tradycyjnych postaw automatycznego niemal podporządkowania władzom: setki normalnych ludzi, bo przecież nie pomagali im „dysydenci”, sami pozostający pod nadzorem, podejmowały własne, „buntownicze” decyzje wedle swoich poglądów politycznych.

Odnotowuje on celnie siłę nurtu reformatorskiego wewnątrz partii oraz istnienie w niej różnych opcji, także zwolenników stopniowej demokratyzacji systemu. Pisze wprost, iż samo pojęcie „komunistów chińskich” jest w tej sytuacji niejednoznaczne. Stawia fundamentalne pytanie, czy ChRL jest jeszcze państwem „realnego socjalizmu”, czy też wyszła już z niego, a przeszła do jakiejś formy azjatyckiego autorytaryzmu. Nie ma zatem wątpliwości, iż totalitaryzm dogmatycznego maoizmu mają Chiny już dawno za sobą. Reformy Denga uznaje za autentyczne, a nie fasadowe przeobrażanie i modernizowanie kraju, choć zarazem ukazuje ich ograniczenia w sferze politycznej. Nie dopowiada tylko, iż wprowadzali je marksiści, którzy wiedzieli, iż zmiany w „bazie gospodarczej”, wprowadzenie gospodarki rynkowej oraz prywatnej przedsiębiorczości zmienić musi wszystko, także „nadbudowę polityczną”. Pytanie tylko kiedy i w jakim kierunku pójść zmiany.

Przekonanie Autora, iż Chiny zmierzać muszą do demokracji, jest tylko jedną z możliwych prognoz, ponadto kluczowe pozostaje pytanie: do jakiej demokracji, typu amerykańskiego, czy japońskiego lub też singapurskiego? Demokracja ma bowiem rozmaite oblicza, a sam Autor celnie zauważa, iż pojmowanie jej w Chinach nie tylko jest mętne, ale i daleko odbiega od zachodnich jej interpretacji.

Również słusznie ukazuje on słabości chińskiego ruchu dysydenckiego oraz jego marginalny zupełnie charakter, jak też brak szerszego poparcia dla niego tak ze względu na bezprecedensowy rozwój gospodarczy, jak i tradycje konfucjańskiego poszanowania dla władzy. Nie bez znaczenia jest też widmo destabilizacji, wojen domowych oraz zupełnie odstraszający przykład Rosji. Trzeźwo ocenia on poszczególnych chińskich dysydentów działających obecnie za granicą jako utopistów nie wyzwolonych od socjalistycznych mrzonek, czy osoby rozegzaltowane, żyjące tylko swoimi byłymi dokonaniem, a pozbawione realizmu w ocenach obecnej sytuacji kraju itp. Jedynie nieliczni reprezentują postawy bardziej trzeźwe. Do tego dodać jeszcze można, że ich analizy tak stanu obecnego Chin, jak i poprzednich okresów, rozczarowują głęboko ze względu na powierzchowność i uleganie dawnym schematom pro-

pagandy chińskiej (albo też prymitywnym ujęciom formułowanym czasem na Zachodzie). Niekiedy odnosi się wręcz wrażenie, iż zakonserwowali oni w sobie resztki mentalności maoistowskiej, jakie już znikły w samych Chinach. Zdarza się to często emigrantom. Niestety, nie powstała chińska *Kultura* paryska ani nie pojawił się nikt szerokością horyzontów przypominający choćby Giedroycia. Na marginesie można dodać, iż chyba wciąż nie doceniamy jego roli i fundamentalnego znaczenia dla rozwoju sytuacji w Polsce upowszechnionych przezeń standardów myślenia politycznego. Opozycja chińska za granicą jest nie tylko podzielona i skłócona, ale nie wypracowała ani krytycznych analiz historii ChRL, ani programów przeobrażeń na przyszłość. O wiele głębsze są analizy przeprowadzane przez intelektualistów działających w kraju, i to wcale nie z kręgów dysydenckich, a rewizje dawnych ocen są tam dziś o wiele bardziej gruntowne¹.

Autor przyznaje sam, iż koncentruje swą uwagę na ruchu dysydenckim. To jednak zawęża bardzo jego perspektywę, gdyż ograniczając się do „buntowniczej” części bardzo szczupłych w Chinach elit intelektualnych, i to głównie ze stolicy, pomija ogromną, wieloaspektową aktywność społeczną i wielkie ruchy przeobrażające realnie ten kraj. Użyty przezeń termin „ruchu demokratycznego” jest bezpodstawnie zawężony do ruchu dysydenckiego, choć ukazuje go na szerszym tle politycznym i społecznym. Jest to częstą praktyką także powierzchownej prasy zachodniej i wiąże się z nieuzasadnionym utożsamianiem wszelkich dysydentów ze „zwolennikami demokracji” (oczywiście zachodniej), podczas gdy w istocie są też dysydenci-nacjonalisci, żądający rezygnacji z obecnej polityki współpracy z USA i Japonią, zwolennicy metod autorytarnych, dysydenci — zwolennicy powrotu do maoizmu itd. Ponadto zaś wiele działań i pomysłów demokratycznych nie pochodzą wcale od dysydentów.

Czy np. ruch przeprowadzania wyborów gminnych, a ostatnio i powiatowych, z kandydatami wyłanianymi przez ludność, mobilizujący całe społeczności lokalne i nierzadko prowadzący do radykalnej wymiany władz terenowych, z zapraszaniem na takie wybory „obserwatorów zagranicznych” — zwykle krewniaków z Azji Południowo-Wschodniej, Hongkongu, a nawet USA, zainspirowany wprawdzie do pewnego stopnia przez intelektualistów, lecz obecnie wyraźnie ludowy, nie jest ważnym składnikiem „ruchu demokratycznego”? Czy nie jest on nawet ważniejszy dla przyszłości Chin od dywagacji izolowanych społecznie i nielicznych dysydentów ze stolicy? Tym bardziej, iż chodzi tu o praktyczne trenowanie w praktyce zupełnie nieznanymi dawniej Chinom procedur wyborczych i wyzwalanie się w skali całych społeczności lokalnych spod dominacji nomenklatury rodowo-partyjnej. Ponadto, co może być jeszcze ważniejsze, wybory te zmieniają pojmowanie państwa i natury władzy. Od starożytności nominacje wszystkich funkcjonariuszy państwowych miały charakter decyzji odgórnych, a państwo — będące strukturą na poły sakralną — funkcjonowało podobnie jak Kościół katolicki, z poddanymi-wiernymi. Wybory te stanowią zatem przełom, gdyż po raz pierwszy w historii Chin piastowanie stanowisk, przynajmniej w skali lokalnej, zaczyna zależeć od współobywateli-wyborców, a dobra opinia u władz zwierzchnich przestaje gwarantować karierę.

Autor przeniósł, chyba bezzasadnie, doświadczenia z Europy Środkowej na zupełnie inne warunki Chin, gdzie — jak się wydaje — dysydenci, co wyraźnie rysuje się już obecnie, nie mają chyba szans na odegranie istotniejszej roli politycznej. Potwierdza to także przykład demokratycznych przeobrażeń na Tajwanie z lat ostatnich, gdzie dysydenci wypuszczeni z więzień i przybyli z emigracji ponosili nieodmiennie klęskę w wyborach. Nie znaczy to, oczywiście,

¹ Patrz np. studium Yang Fana, z chińskiej Akademii Nauk, opublikowane w „Zhanlue yu Guanli” 1998, nr 5.

iz pewne idee przez nich wylansowane, jak choćby prawa człowieka, nie odegrały żadnej roli. Wręcz przeciwnie, pobudzali oni ferment intelektualny i ducha krytycznych ocen wobec postępowania władz, przełamywali rozmaite tabu, ale tylko na tyle, na ile ich idee mogły liczyć na szerszy rezonans. Jak słusznie zauważa Autor, radykalizm ich żądań niekiedy wręcz odstraszał społeczeństwo.

Chociaż w tekście początki ruchu demokratycznego Autor odnosi do 1919 r., tytuł książki sugeruje, iż stanowi je ruch studencki 1989 r., co jest po prostu nieporozumieniem. Przypomnieć można, że rewolucjoniści z 1911 r. nie tylko ustanowili Republikę, ale i przeprowadzili w 1912 r. pierwsze i jedyne, aż do dziś wolne i wielopartyjne wybory do parlamentu, choć wysoki cenzus majątkowy ograniczał (realistycznie zresztą) udział w nich do 10% ludności. Jeszcze większe zasługi w promowaniu idei demokracji miał wspomniany przez Autora Ruch 4 Maja.

Trudno się zgodzić z opinią Autora o znaczeniu wydarzeń z 1989 r. w Pekinie dla dalszego rozwoju sytuacji w Chinach. Porównuje on je z sowiecką inwazją na Czechosłowację w 1968 r. i stwierdza: „W obydwu przypadkach do tego przełomowego momentu wierzone w wewnętrz-systemowe zmiany. Potem już nie. Gwałtownie wzrósł krąg osób rozczarowanych. Jedni zamilkli, drudzy stracili złudzenia, trzeci przeszli do działań wymierzonych przeciwko systemowi. Różnica polega na tym, że w Europie Środkowowschodniej po Czechosłowacji szybko rosły szeregi opozycji pozasystemowej, natomiast w Chinach po Tian'anmen zaszła inna, zasadnicza zmiana. W latach dziewięćdziesiątych reformistyczny ruch wewnątrzpartyjny w dotychczasowym wydaniu zaczął zamierać, a na jego miejsce wystąpiły teorie nawiązujące do tradycji oraz rozwiązań nacjonalistyczno-autorytarnych” (s. 228).

Zgadzać się ze stwierdzeniem o przełomowym charakterze tych wydarzeń, inaczej chyba należałoby go zdefiniować. Samo porównanie do Czechosłowacji jest mylące, gdyż tam do akcji weszły obce wojska i zademonstrowana została „doktryna Breżniewa” o wyznaczaniu nader wąskich granic zmianom dozwolonym przez Moskwę. Wydarzenia na placu Tian'anmen były natomiast bliższe wypadkom na polskim Wybrzeżu w 1970 r., gdzie też przeciwko ludności wystąpiło własne wojsko, co podważyło zaufanie do partii i wymusiło reformy epoki Gierka. Odwołując się do własnych doświadczeń, a byłem w Pekinie w rok po tych tragicznych wydarzeniach, i w Pradze w trzy lata po interwencji, mogę też stwierdzić, iż w Pekinie nie było wcale atmosfery zastraszenia, przypominającej choćby tę z Czechosłowacji, ani nawet części praskich czystek. U naszych południowych sąsiadów jakiegokolwiek swobodniejsze dyskusje były możliwe wtedy tylko w zamkniętym kręgu dysydentów, których władze zmusiły do „wewnętrznej emigracji” i skazały niejako na „opozycyjność”. W Chinach natomiast represje dotyczyły tylko nielicznych przywódców ruchu, a społeczeństwo wcale nie było zastraszone. Na jednej z uczelni pekińskich poproszono mnie wręcz (w 1990 r.) o wykład na temat „Solidarności” i przejęcia przez nią władzy w Polsce, a dyskusja po wykładzie, z otwartym wyrażaniem sympatii dla „polskiej drogi”, była niezmiernie ożywiona. Gdy znajomi widzieli mnie z oficjalną gazetą w ręce, z oburzeniem wręcz mówili: „jak możesz czytać tę gadzinówkę!”. W skali masowej zaczęto wtedy słuchać radiostacji zachodnich, bynajmniej się z tym nie kryjąc.

Przełomowe znaczenie tych wydarzeń chińskich polegało głównie na ostatecznym załamaniu się wielowiekowej tradycji mandaryńskiej — głębokiego utożsamiania się inteligencji z elitą rządzącą i władzami, a w konsekwencji na „umysłowej emancypacji inteligencji chińskiej”, jak też osłabieniu tradycyjnych postaw automatycznego niemal posłuszeństwa władzom wśród szerszych kręgów społeczeństwa. W ten sposób, dość nagle, pojawiły się warunki do kształtowania „społeczeństwa obywatelskiego”.

Konsekwencje społeczne i polityczne tych wydarzeń ująłbym też inaczej. Wprawdzie „opozycja pozasystemowa” zaczęła się rozwijać, ale w skali niewielkiej, a represje dość skutecznie to hamowały. Jednakże opozycja „wewnątrzsystemowa” wcale nie zanikła, ba, od 1992 r., gdy ruszyła fala głębokich reform, nabrała wręcz nowego wigoru. Ponadto zaś pojawiła się nowa opozycja „oboksystemowa”, nie występująca przeciwko reżimowi i działająca w zasadzie w ramach prawa, ale rozwijająca najróżniejsze niezależne działania.

Zwrócenie się ku tradycjom narodowym, dyskusje o „naturze Chin”, w tym i koncepcje „światłego autorytaryzmu” wprawdzie zaczęły występować w szerszej skali niż poprzednio, ale nurt te były obecne stale od poprzednich wielkich manifestacji na placu Tian'anmen w 1976 r. Zwróćmy bowiem uwagę, iż ideologia komunistyczna miała tam uniwersalistyczny charakter, wiązała się z dziejową „misją Chin” w budowaniu nowego porządku światowego. Zatem opozycja wobec niej od 1976 r. polegała przede wszystkim na eksponowaniu zadań rozwoju gospodarczego Chin, eksponowaniu ich tradycji i interesów, a odrzuceniu tych światowych mrzonek, jak też polityki poświęceń Chińczyków dla ich realizacji. Sprawy są zatem bardziej złożone.

Przypomnieć tu warto, iż stosunek do komunizmu w Chinach różni się zasadniczo od środkowoeuropejskiego, gdyż inne były tamtejsze doświadczenia historyczne. Tam identyfikuje się go nie z półkolonialnym zniewoleniem przez obce mocarstwo, ale właśnie z „wybijaniem na niepodległość”, a przede wszystkim z kolektywistyczną organizacją całego życia i pracy, jaka w Europie Środkowej — w porównaniu do Chin — występowała w zupełnie znikomej skali, a także z wpajaniem jego ideologii w fanatycznej, parareligijnej formie, z intensywnością występującą u nas co najwyżej w sektach. Zanik tej ideologii oraz przymusu kolektywnego życia oraz pracy w komunach ludowych i innych „socjalistycznych” przedsiębiorstwach, czy instytucjach, i przejście do wolnego rynku, gospodarstw rodzinnych i przedsiębiorstw typu prywatnego, jak też do systemu politycznego na czele stawiającego interesy narodowe Chin, dla mieszkańców tego kraju było „końcem komunizmu”.

Rządów jednopartyjnych i autorytarnych nie wiązano tam bowiem z komunizmem, gdyż taka była natura wszystkich dotychczasowych systemów politycznych Chin, tak prawicowych, jak i lewicowych, a wokół w Azji dominowały podobnego typu reżimy antykomunistyczne.

Nie mniej ważny był też inny zwrot po 1989 r. Do tego czasu zainteresowania sprawami politycznymi były bardzo żywe, szczególnie w kręgach inteligenckich, natomiast po tragicznych wydarzeniach w Pekinie bardzo osłabły. Jak odnotowuje to Tu Wei-ming z Uniwersytetu Harvarda, sprawy wolności, praw człowieka, czy politycznego ucisku straciły swą atrakcyjną siłę, a dominującymi troskami stały się zupełnie inne: rozmaite bolączki życia codziennego, szerząca się korupcja, przestępczość, gwałtownie narastające nierówności i zróżnicowanie majątkowe². Tematy te odgrywały wprawdzie główną rolę już w protestach na placu Tian'anmen z 1989 r., ale po stłumieniu ich siłą, to one wysunęły się na czoło, a polityczne żądania zaczęły się koncentrować na sprawach suwerenności Chin, respektowaniu ich interesów i „godności” przez Japonię i USA, nie zaś na sprawach demokratycznych przemian. Kierownictwo państwa oskarżać zaczęło o „wyprzedaż interesów narodowych” i podporządkowywanie się USA. Siła tych nastrojów uwidaczniała się w rozmaitych akcjach studenckich, szczególnie po zbombardowaniu ambasady chińskiej w Belgradzie wiosną 1999 r. Do tego dodać trzeba, że hasła „obrony praw człowieka” i „demokracji” straciły też wiele ze swej obrazoburczej natury, gdyż władze nie tylko zaakceptowały je, ale i zaczęły udowadniać, że dbają o te

² Tu Wei-ming, *Wstęp*, w: *China in Transformation*, Harvard University Press 1994.

sprawy. Kontrowersje dotyczyły interpretacji tych pojęć, a to już było kwestią zupełnie inną i wywołującą znacznie mniejsze emocje.

Odchodzenie od zainteresowań politycznych wiązało się z „ucieczką w prywatność” na szeroką skalę, z koncentrowaniem się na „robieniu pieniędzy”, rozwijaniu prywatnej przedsiębiorczości, zdobywaniu coraz bardziej luksusowych dóbr materialnych, „urządzaniu” swej rodziny itp. I tak w tej sferze, jak i w głoszeniu narodowych ideałów rozwijać zaczęło swą działalność wielu byłych aktywistów z placu Tian’anmen. Okazało się bowiem, że mimo rozmaitych ograniczeń nawet istniejący system umożliwia podejmowanie różnorodnych inicjatyw i poszerzanie skali swych wolności bez pytania nikogo o pozwolenie, metodą zawłaszczania rozmaitych sfer przez oddolne inicjatywy, co władze musiały tolerować. Tak ruchy wysuwające postulaty zmian politycznych na szczeblu centralnym straciły na znaczeniu, gdyż umożliwiono praktyczne działania w skali lokalnej. Zatem konkluzje Autora o konsekwencjach wydarzeń na placu Tian’anmen tylko w części ujmują te realia, a sytuacja jest o wiele mniej jednoznaczna.

Pozostawiając na boku konsekwencje w skali procesów historycznych, warto też zwrócić uwagę na implikacje dla ówczesnej polityki. Zhao Ziyang, ówczesny przewodniczący KPCh, inicjował pod koniec lat osiemdziesiątych reformy polityczne i ograniczenie monopolu swej partii (przez usamodzielnienie 8 partii „sojusznicznych”). Ruch studencki, nie wysuwając zresztą żadnego programu konkretnych reform, doprowadził do zahamowania reform politycznych na lata, jak też do usunięcia z kierownictwa partii ludzi je promujących, włącznie z Zhao Ziyangiem (jego dynamiczny sekretarz trafił wręcz do więzienia), a do przejścia władzy przez skrzydło konserwatywne. Wojska wprowadzono na ulice stolicy, gdy ruch studencki już wygasł i nie służyło to realnej potrzebie „zaprowadzenia porządku w Pekinie”, ale stanowiło przede wszystkim pokaz siły dla całego kraju, a było też elementem scenariusza swoistego zamachu stanu (w istocie nieudanego, gdyż konserwatystom nie udało się przejąć pełnej władzy). Wielka batalia polityczna toczyła się zatem w gabinetach władzy i na ich zapleczu, a studenci stali się tylko pionkami w tej grze.

Patrząc z tej perspektywy pojawiają się rozmaite znaki zapytania co do działań „radykałów” na placu. Podejmowali oni wręcz desperackie wysiłki, by nie dopuścić do rozejścia się studentów i przedłużyć, choćby jeszcze o kilka dni, kończący się protest, mówiąc brutalnie — by dać możliwość i uzasadnienie przygotowywanej interwencji armii. Gdyby studenci rozeszli się „za wcześniej” dywizje wspierające „twardogłowych” nie miałyby okazji do takiego pokazu siły i późniejszych czystek „reformatorów” w aparacie partii i państwa. Czy wszyscy z owych „radykałów” działali tylko z czystej naiwności? Rozmaici wysłannicy błagali wręcz studentów, by się rozeszli i tłumaczyli, do czego ich działania prowadzą. Wiadomo dobrze, iż ruchy opozycyjne i radykalne są zazwyczaj infiltrowane przez służby specjalne. Czy plac Tian’anmen był wyjątkiem? Czy nie jest to też kluczem do tak zadziwiającego ukrywania się aż tylu przywódców ruchu i ich udanych ucieczek za granicę? Przecież specjaliści z odpowiednich służb wiedzieli, że będą potrzebowali swoich tajnych współpracowników także w środowiskach emigracji politycznej. Niekoniecznie więc wszyscy aktywiści studenccy kierowali się tylko wzniosłymi motywami.

Ponadto ruch ten poparli, przybywając na plac z odpowiednimi deklaracjami, nie tylko wybitni przedstawiciele inteligencji stołecznej, ale także liczni przedstawiciele redakcyjnego organu „Dziennik Ludowy”, pracownicy wielu ministerstw, dyrektorzy departamentów, a nawet wiceministrowie i inni wysocy dygnitarze. Przedstawianie tego protestu tylko w heroicznym schemacie: „bohaterscy studenci walczą o demokrację z komunistycznym reżimem”

jest zatem głęboko mylące, przynajmniej w drugiej fazie, od wymuszenia transmitowanego przez telewizję ich spotkania z premierem.

Z pewną dozą cynizmu dodać też trzeba, że nie było chyba całkowitym przypadkiem tak łagodne potraktowanie studentów i umożliwienie im spokojnego odejścia z placu. Rekrutowali się wszak oni w znaczącej części z rodzin aparatu władzy, gdyż to jego potomstwo dostawało się bez trudu do elitarnych, pekińskich uczelni. Dlatego też i późniejsze represje dotknęły tylko nielicznych ich przywódców. Ofiary, i to tak liczne, padały natomiast na przedmieściach i na drodze do placu, gdyż z młodymi robotnikami i buntowniczymi przybyszami ze wsi, z „ludem pekińskim”, można się było liczyć znacznie mniej. Eseiście może, oczywiście, nie stawiać takich niewygodnych znaków zapytania, ale historyk musi.

Wątpliwości do recenzowanej książki i też Autora można by zgłosić więcej, ale z pewnością informuje ona czytelnika dość rzetelnie o procesach i wydarzeniach ostatnich dekad, jak też może pobudzić do myślenia. Należy jednak pamiętać, że ukazuje tylko niewielki wycinek rzeczywistości chińskiej, pomija bowiem zupełnie fundamentalne przemiany gospodarcze i polityczne, czy wręcz skok cywilizacyjny, jak również dramatyczne zmiany społeczne i przeobrażenia mentalności, wdrażanie systemu prawa, formowanie społeczeństwa konsumpcyjnego, wielostronne wpływy kultury zachodniej, coraz ściślejsze związki łączące Chiny ze światem itd., bez czego trudno zrozumieć losy ruchu dysydenckiego w Chinach.

Zdarzają się też pewne potknięcia. Chińska Akademia Nauk Społecznych nie jest „kuźnią kadr oraz intelektualnym zapleczem partii” (s. 230), ale odpowiednikiem Polskiej Akademii Nauk (tam rozdzielonej na dwie struktury: nauk społecznych i przyrodniczych). Wiele badań tam prowadzonych nie ma żadnego związku z polityką, jak archeologiczne, etnograficzne, filologiczne itp. Ponadto zaś od dawna w Akademii funkcjonują centra niezależnej myśli. Można przypomnieć, że i u nas prof. Bronisław Gieremek w dawnym systemie nie mógł uczyć na uniwersytecie, ale mógł pracować naukowo w PAN. Podobnie i w Chińskiej Akademii Nauk Społecznych wielu jest ludzi myślących niezależnie i podejmujących nieortodoksyjne działania. Ba, są całe instytuty forsujące reformy w rozmaitych sferach (jak Instytut Prawa, który ostatecznie doprowadził do uznania prawa za podstawę państwa, z wpisaniem tego nawet w 1999 r. do konstytucji). W tym sensie Akademia jest oczywiście także pewnym zapleczem dla partyjnych reformatorów.

Pierwsze wielopartyjne wybory na Tajwanie odbyły się dopiero w 1991 r., nie zaś w 1987 (s. 242), wtedy to tylko zezwolono na tworzenie partii opozycyjnych i zniesiono wiele zakazów stanu wojennego (obowiązującego od 1949 r.).

Istotnie polska „Solidarność” w Chinach żywo interesowała chińskich dysydentów i cieszyła się ich sympatiami (s. 54), co nie znaczy jednak, że do nich to się ograniczało. Były one o wiele powszechniejsze, a nawet oficjalna propaganda, i to także po 13 grudnia 1981 r., określała ten polski ruch jako „narodowowyzwoleńczy”, czyli z definicji „słuszny” moralnie. Latem 1981 r. Chiny udzieliły Polsce bezprocentowej pożyczki w mięsie wieprzowym na sumę 100 mln USD, by symbolicznie wyrazić poparcie dla dokonujących się wtedy w naszym kraju przemian, zupełnie heretyckich w obozie sowieckim (po 13 grudnia ograniczono ją do 40 mln). Właśnie wtedy Deng zaczynał swe fundamentalne reformy w Chinach, zrywając z komunistycznymi dogmatami. Nawet w latach osiemdziesiątych delegacja podziemnej „Solidarności” mogła złożyć wizytę w Pekinie i byłaby tam ciepło przyjęta, sygnały takie przekazywano bowiem z Chin do jej biura w Brukseli, ale to polska opozycja nie zdecydowała się na to. Sprawa stosunku do „Solidarności” jest zatem o wiele bardziej skomplikowana, niż to przed-

stawia Autor, a dysydenci chińscy nie byli jej jedynymi sympatykami. Takich przykładów można by podać więcej.

Te rozmaite zastrzeżenia i uwagi nie podważają, oczywiście, wartości informacyjnej tej pracy. Tym bardziej, iż nie jest to pełne i ze wszystkimi rygorami pracy naukowej omówienie wydarzeń, ale bardzo osobista narracja przybliżająca czytelnikowi polskiemu współczesne realia tego wielkiego kraju, u nas ujmowane w uproszczonych schematach o mitycznej wręcz naturze.

Krzysztof Gawlikowski
Warszawa